



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich użytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. K. Poznanskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

WALERYĘ MARRENÉ

(Morzkowską).

II.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 68).



Hanus, szepnął zaledwie słyszalnym głosem: oj Hanus, Hanus, przebacz mi!

Podniosła wzrok na niego, łagodny i dojmujący, jak oczy zranionej lani; wargi jęj zadrgały, pragnęła odpowiedzieć, a głos wymawiał posłuszeństwo. Jaka miała być ta odpowiedź, łatwo było wyczytać z jęj twarzy. Ona nie potrzebowała przebaczać, bo nie winiła go nawet.

Stach nie rozumiał tego niemego przebaczenia, przygniatał go wstyd i uczucie bezsilności własnej, poddawał się konieczności, ale instynkt ostrzegał go, że człowiek nad koniecznością zapanować powinien. Nie były to rzeczy wyrozumowane, władza ta nie rozwinięta drzemała w nim zupełnie, tylko proste niesfałszowane poczucie mówiło mu jak dalece zawinił przeciw tęj biednej dziewczynie.

— Hanus, powtórzyl jeszcze: powiedz mi choć jedno słówko.

Była tak rozpaczna prosba w jego głosie, że ona przez miłość potrafiła to przemódz, ale głos odmawiał jęj posłuszeństwa.

— Stachu, szepnęła tylko: ja prosić będę Boga, żeby tobie dobrze było.

Była tak słiczna w przebaczeniu swoim, że miał ochotę unieść ją ztąd gdzieś na koniec świata, otrzeć lzy z jęj oczu i nie puścić jęj więcej od siebie. Były to szalone chęci, Tymczasem tam z kościoła Maryska wlepiła w niego oczy, nagląc, by porzucił tę niestosowną rozmowę; lada chwila Plaskocina obejrzeć się mogła: więc schyliwszy głowę, poszedł dalej. Chęci jego rozwiały się niewielone w słowo, ani w czyn żaden, jak tyle innych szlachetnych marzeń ludzkich.

Hanka pozostała sama, nie ruszyła się z miejsca, jak gdyby gromem uderzona. Nie była w stanie zdać sobie sprawy z przyszłości, ani z obecnej chwili, czuła tylko że stało się coś strasznego, że wszystkie słuszne nadzieje jęj życia pękły jak bańka mydlana dotknięta niemilosierdną ręką rzeczywistości. Jednak w duszy nie miała do nikogo żalu, nawet do niego; nie było w myśli jęj innej skargi prócz skargi na los, co przesładował ją od urodzenia.

W każdym nieszczęściu ludzkim, oprócz gromu, co gruchoce i niweczy, jest zawsze pełno drobnych szpilkowych ukłóc, które później drażnią palącą ranę, każdej chwili wznawiając jęj boleść. Hanka nie wiedziała o tém, aż gdy oprzytomniawszy trochę usłyszała głos organów i chciała wsunąć się na zwykle miejsce w kościele, dojrzała tysiące szyderskich spojrzeń, doleciały ją szepty złośliwe: „Stach ją opuścił jawnie, dla Plaskocianki.” Domysły dobrych ludzi szły dalej: ona samotna, stała się na raz pastwą obmowy; rozpacz której na razie pokryć nie umiała, brano za dowód hańby. To wszystko łatwo było wyczytać na twarzach kobiet i dziewcząt zajmujących według zwyczaju prawie połowę kościoła, a zresztą można było odgadnąć, że tak

będzie. Wszędzie i zawsze na każdym szczeblu społecznym, jest czerń duchowa, rzucająca kamieniem na cierpiących i bezbronnych, mszcząca się oszczerstwem za jaką bądź wyższość. Według wychowania i obyczajów objawy te będą różne, ale myśl kierownicza pozostanie ta sama. W hierarchii moralnej na jednakim stopniu stoją proste wieśniaczki wytykające palec jedną z pomiędzy siebie, i światowe kobiety oddające sobie ukłon lekceważący z dwójznanym uśmiechem.

Hanka potrzebowała wypłakać się; spojrzenia ludzkie ściagały ją aż w najciemniejszym zakątku, gdzie się ukryć chciała. Gdyby pozostało jęj choć trochę swobodnej myśli do ocenienia położenia, byłaby z pewnością podniosła dumnie głowę, i choćby skonać jęj przyszło, skonałaby z suchym okiem; ale ona nie była w stanie zrozumieć dokładnie co się z nią działo. Machinalnie podnosiła się, kłękała i pochylała podczas mszy, jak to czynili inni. Nie mogła się modlić, bo przeszkadzały jęj ciekawe spojrzenia. Potrzebowała w samotności rozpatrzeć się w swoim losie przypaść do łona matki ziemi i spłakać lzy tłoczące jęj piersi; potrzebowała rzucić chociażby echem leśnym namiętny krzyk bólu; ale nie ruszała się z miejsca, i czekała cierpliwie jak posąg końca nabożeństwa.

Wreszcie uciechły organy, rozległ się głośny śpiew na Anioł Pański, potem kościół opróżniał się zaczął, ludzie wychodzili jedni po drugich, tłocząc się w około kropielnicy z wodą święconą. Ona nie patrzyła nawet w tę stronę: był jeden widok, którego lękała się zobaczyć, bo czuła, że przenieść go drugi raz nie potrafi. Dopiero gdy odgłos kroków przestał się rozlegać po pustych nawach, podniosła głowę jak ptak zraniony, co czuje, że minęło niebezpieczeństwo.

Nie była przecież sama: dziad kościelny stał przy drzwiach i czekał, kilka kobiet pozostałych jeszcze po kątach modliło się z nabożeństwa czy

z ciekawości. Hanka powstała szybko, ale nogi chwiały się pod nią, i z trudnością wyszła z kościoła. Wsparła się o mur otaczający cmentarz i spojrzła w około, szukając oczyma prostej drogi, którąby przemknąć się mogła. Wszędzie snuli się ludzie. Słoneczna godzina południa rozweseliła dzień listopadowy, tak, że natura nawet we wdowiej szacie jesieni, uśmiechała się świątecznie. Czerwone jagody kołysały się lekko na szczytach jarzębin i rumieniły gałęzie kalin, na brzozech liście pożółkłe zdawały się zatrzymywać na mgły i sloty promienie słońca lub pozór ich przynajmniej; gdzie niegdzie zboża mieniły się spóźnionymi kwatami ognichy, a zielona firanka jodłowego lasu zamykała ciemną linią widnokrąg. Las, ten wznosił się tuż obok wsi; tam skierowała się Hanka, tam mogła znaleźć wreszcie samotność i ciszę. O tej porze minęły wszystkie leśne przynęty: ani jagody, ani orzechy, ani nawet grzyby, nie wabiły już nikogo.

Pobiegła krętą drogą przez wąwozy; aż wreszcie padła prawie, zmęczona, pod cieniem starych jodeł, na wilgotną murawę; tutaj mogła płakać swobodnie, nikt jej podpatrzyć ani wyszydzić nie mógł.

Słońce chyliło się ku zachodowi; ona nie uważała na to, pragnęła zapewne pozostać tu na wieczność, i nie wrócić nigdy do ludzi, gdy nie spodzianie szelest jakiś odezwał się przy niej, a z za gąszczu drzew wychyliła się znajoma nam postać dziada. Widząc dziewczynę tulącą twarz do omszonego pnia jodły, przystanął i spojrzął na nią uważnie. Hanka podniosła głowę; była w jednej z tych chwil zniechęcenia i rozpacz, w której wszystko obchodzić przestaje. Pochylił się, przestraszony jej nieruchomością. Wtenczas i ona poruszyła się; zrozumiała widać, że tego spotkania ludzkiego uniknąć nie potrafi, i ukazała mu łagodne oczy łzami zalane.

Łzy w źrenicach dziewczyny spotykają się często i płyną za lada przeciwnością i smutkiem; przecież w wyrazie jej twarzy było coś tak niepokieszonego, że dziad znajdujący się na cierpieniu pokijał głową i spytał:

— Co tobie jest, moje dziecko?

Były to zwyczajne słowa, jednak głos, jakim je wymawiał, drgał współczuciem.

Ale Hanka nie miała ochoty opowiadać tajemników swego serca, i patrzyła na niego przez łzy w milczeniu.

— Nie chcesz mi powiedzieć co cię trapi, nalegał żebrak, nie znam cię moja dziewczyno, przecież człowiek człowiekowi czasem pomódz potrafi.

Hanka załamała ręce.

— Mnie nikt nie pomoże, szepnęła.

Dziad usiadł przy niej na trawie.

— Mówisz zwyczajnie jak młoda, odparł poważnie: ludzie w różnych razach różnie sobie radzą, na wszystko w świecie znajdzie się lekarstwo—tylko na śmierć go nie ma.

— A na nieszczęście, dziadku? zapytała pociągnięta mimowoli słowami jego.

Był tak głęboki dźwięk w tych prostych słowach, że zrozumiał, iż niezwykła troska ciążyła na jej młodym duchu.

— Nieszczęście, odparł, różnego bywa rodzaju: niektórzy ludzie sami sprowadzają na siebie, a w innych jest wola boża. Trzeba znieść to czego odwrócić nie można.

Ale spokojna mądrość tych słów, nie mogła zażegnać burzy kipiącej w jej sercu.

— Znieść! zawołała podnosząc w górę ręce ruchem pełnym rozpacz: oj, dziadku! zniósłami ja wszystko, co człowiek znieść może.

Spojrzął na nią z ojcowskim wyrazem.

— Och! szepnął, czy ty wiesz, jakie są siły ludzkie? czy ty wiesz, ile razy wśród nędznego życia człowiek chciałby umrzeć, a śmierć nim pogardza? Darmo, trzeba dźwigać się do ostatka; widać, żeśmy na coś potrzebni na świecie, skoro nas Pan Bóg tu trzyma.

— I na cóż ja się biedna komu przydam? wybuchnęła Hanka, w której żebrak wzbudzał coraz większą ufność.

— Na co? powtórzył dziad, a któż to wiedzieć może. Jesteś jeszcze bardzo młoda; czy ty zgadniesz, jakie ci koleje przypadną? jakie będziesz miała radości i smutki?

— Radości! zawołała: nie ma już więcej dla mnie sieroty!

— Sieroty? wyrzekł z nieujętym wyrazem: niedługo twoje sieroctwo się skończy, będziesz miała męża i dzieci, na świat ci dopiero, moja miła. Prawdziwy sierota to ten, co na starość został się sam jeden; takiego to tylko ciemny grób przygarnie.

Mówiąc to, mieć musiał samego siebie na myśli, bo był w tych słowach rozpaczliwy spokój cechujący każde słowo jego.

Hanka spojrziała nieśmiało.

— A wy dziadku nie macie nikogo? spytała.

— Nikogo, odparł szorstko.

— Dzieci was odumrzeć musiały, ciągnęła dalej z litością.

— Odumrzeć? powtórzył, tak, odumarły, a jedna ostatnia...

Machnął ręką i nie dokończył zacetęj myśli.

— Ot, wyrzekł po chwili, co tu mówić o mnie? źle czy dobrze, nie długo mi już wszystkiego.

— Dziadku, szepnęła Hanka, czemuż nie jestem waszą córką!

— Moją córką, zawołał, ty moją córką!

Był nieujęty wyraz w tych słowach: gniewu, żalu i boleści; zdawało się, że przez tę myśl dziewczyna wywołała burzę w jego sercu, że przywiodła mu na pamięć jakieś pogrzebione nadzieje i wycierpiane męki. Lecz uspokoił się po chwili, i twarz jego przybrała znowu zwykły wyraz. Nastąpiła długa cisza, aż wyrzekł znowu łagodnie, zwracając się do dziewczyny.

— Mówisz, że chciałabyś być córką moją, a nie chcesz mi powiedzieć przyczyny smutku? — otoż ja go sam odgadnę.

Pochyliła głowę jak kwiat ścięty, i ciężkie westchnienie wydarło jej się z piersi.

— Jak się nazywasz? pytał dziad niezrażony.

— Hanka.

— A więc Hanko, przyczyną smutku tego musi być chłopiec z pewnością.

Zawahała się chwilę, podnosząc na niego załzawione oczy.

— Nie, szepnęła nabierając odwagi, ja nie skarzę się na nikogo tylko na złą dolę, która nas rozdziela. Wiedziałam o tym i mówiłam Stachowi. On ma starą matkę i na nią pracuje, teraz będzie stawał do losów, trzeba mu bogatej żony, coby go wykupiła—a ja nie mam.

Mówiła to spokojnie prawie, nie było nic w tej prostej powieści, czegoby się wstydzic lub ukrywać miała. Ludzie oddani pracy nie znają co to jest świecąca nędza, obowiązki położenia, krycie się z niedostatkiem; ich codzienne walki z losem są jawne, i to odejmuje im wiele goryczy.

Dziad wpatrywał się w nią przez chwilę.

— Ha! twoja bieda skończyłaby się od razu pieniędzmi, a są takie, których żadne skarby świata złagodziłyby nie mogły.

Hanka zastanowiła się.

— To prawda, szepnęła, ale cóż ztąd? tak czy owak nieszczęście moje się spełni. Żeby wyku-

pić się od wojska, trzeba mu pieniędzy; Plaskotowie je mają, niech się z Maryską żeni.

Dziad zmarszczył śnieżne brwi krzaczyste, zwieszające mu się nad oczami które w tej chwili zamigotały czerwonym płomieniem.

— Plaskotowie? podchwycił głucho.

Głos jego drgał takim wyrazem, że Hanka podniosła głowę, z przestachem prawie spoglądając na poważną, pochyloną a dumną postawę żebraka.

— Czy znacie ich dziadku? szepnęła.

On nie odpowiedział nic, ręce twarde od pracy i spalone słońcem przyłożył do twarzy, tak, by ona jej widzieć nie mogła.

W tej chwili zdawał się zapominać o biednej dziewczynie, której losem tak bardzo się zajmował; w myśli jego stał się zwrot mały, myśl ta gwałtem wracała do niego samego, do przeszłości i dni minionych.

Długi czas trwał milczenie, Hanka przerywać go nie śmiała; aż wreszcie żebrak powoli opuścił dłonie na kolana. Rysy jego były blade, źrenice świeciły tajemniczym blaskiem, zwrócił je na zachodzące słońce i patrzył czas jakiś na wspaniałe krajobraz obłany czerwonym światłem zachodu. Przez chwilę tak pozostał bez słów. Może piękność świata w tej świątecznej godzinie przemawiała do niego, może ta zachodząca gwiazda dnia przypominała mu niedługi zachód życia, kres trosk i cierpień, może tężowe blaski chmur rozścielających się purpurą po niebie budziły w nim tęsknotę do tajemniczej krainy duchów, do której tęsknił wiarą prostaczka.

Myśłami swymi nie podzielił się z nikim; dopiero gdy Hanka widząc, że o niej nie pamięta, podniosła się i odejść chciała, wyrzekł łagodnie.

— Odechodzisz już moja dziewczyno?

— Ej, nie, odparła; tylko sądziłam, że wy zapomnieliście o mnie, to i nie chciałam wam przeszkadzać.

— Nie przeszkadzasz mi Hanko, odparł z żywością, kontrastującą dziwnie z marzeniem przedchwilowym; przeciwnie, mów mi o sobie moje dziecko.

— Powiedziałam wam wszystko, szepnęła smutnie; oj, niedługa to powieść.

Wyciągnął do niej szorstką rękę. (d. c. n.)

CLAUDE BERNARD

I NOWOŻYTNY MATERIALIZM.

Dokończenie. (Ob. Nr. 68.)

Rzucmy pobieżnym chociaż okiem na pogląd autora na zadanie, cel i środki fizjologii, dla rozjaśnienia sobie mianowicie tych pytań: jest li fizjologia rzeczywiście w mocy rozwiązać stanowczo najwyższe zagadnienia ludzkości, t. j. o istnieniu duszy, jej nieśmiertelności, o duchu, jego władzach i naturze, lub nie? a jeśli jest, czy ona już doszła do tego rozwoju, abyśmy jej orzeczenie mogli przyjąć za niewzruszoną podstawę do rozwiązania tych kwestyj stanowczego, jak to czynią obecnie pewne stronnictwa? A nie ma wątpliwości, że wskazówki, dane przez człowieka, który taki wpływ stanowczy miał na ugruntowanie i kierunek tej naukowej gałęzi, będą też musiały w tym względzie nie mało ważne mieć znaczenie. Otoż według zdania p. Claude Bernarda, fizjologia jest to nauka zajmująca się ujęciem i wyjaśnieniem *wszystkich przejawów życia*; celem jej: opanowanie natury żyjącej, ujarzmienie i poddanie jej woli człowie-

ka; zadaniem zaś: zbadanie warunków, pod wpływem których urzeczywistnia się życiowe prawo wytworzenia materii zorganizowanej, t. j. jej zrodzenie, rozwój i zachowanie, tak jak i wszystkich żywotnych mechanizmów, któremi się w tej mierze życie posługuje. Według tego, cośmy powyżej wykazali, życie obejmuje tylko prawa tworzenia się tkanin i organów, tych życiowych mechanizmów, i zachowania ich przez nieprzerwane odżywianie, t. j. nieustanne odtwarzanie, tak, że my przyjmujemy życie tylko tam, gdzie spostrzegamy te objawy. Czulność i ruch stanowią najwyższe przymioty (attributs) zwierzęcości (de l'animalité) lecz do pojęcia życia nie są niezbędne; zjawiska zaś psychiczne zupełnie są wykluczone, gdyż one nie przedstawiają własności materii; ona im służy jedynie za niezbędne narzędzie ich przejawu. Zjawiska psychiczne nie mogą przeto stanowić właściwego przedmiotu fizjologii i są z nią w styczności o tyle, o ile życie jest warunkiem ich przejawu. Fizjologia i psychologia są przeto w ścisłym z sobą związku; lecz niemniej są to nauki oddzielne, samoistne, mające właściwe sobie i zupełnie odrębne zadania, cele i środki. W fizjologii, główną zasadniczą metodą jest eksperyment na żywym zwierzęciu, w psychologii ta metoda może być czasem, bardzo rzadko, użyta jako kontrola, jako środek negatywny, lecz nigdy jako dodatni, budujący, twórczy. Metoda, która by się z pewnością i korysnością użyć dała do badań psychologicznych zjawisk, jest jeszcze do wynalezienia i dotąd nie mamy ani przecucia o jej istocie. Co większa! jakkolwiek wielu, mniej obeznanym z przedmiotem przypisywać się zdaje fizjologii już wysoki stopień rozwoju, Claude Bernard jednak, który z pewnością zna dobrze jej stan i granice, wyraźnie oświadcza, iż fizjologia „wprawdzie od dawna stara się ugruntować swe podstawy i wywalczyć swą naukową niepodległość, lecz dopiero w naszych czasach ona jest w stanie zacząć przewidywać swoje prawdziwe zadanie i przeczuwać swoje przeznaczenie!” Jakże to jeszcze daleko do tych dytyrambicznych pewników wielu krańcowych umysłów, które pierwszy brząsk biorą za promień słońca w całej potędze swego południowego rozwoju, a to, co w tym brząsku widzą, za niewzruszone pewniki i podstawy wiekami niewzruszonych gmachów. Mianowicie wszystko, co się odnosi do związku zjawisk psychicznych w człowieku z mózgiem, czarną jest jeszcze pokryte nocą. Wiemy wprawdzie, że są zjawiska psychiczne, które spostrzegamy tylko u zwierząt z wyższej zorganizowanym mózgiem, niektóre nawet wyłącznie u człowieka, ale od czego to zawisło, z którym częściami mózgu owe zjawiska stoją w związku, gdzie w ogóle szukać ich siedliska, czy tylko w mózgu, czy też w całym układzie nerwowym, jak niektórzy utrzymują, które nawet z tych tak zwanych psychicznych objawów należą rzeczywiście do ich rzędu, a które przedstawiają tylko funkcje ich narządów organicznych i t. d., o tym wszystkim dotąd nie mamy żadnego, a tym mniej ścisłego pojęcia. Jakimże więc sposobem możemy na tych podstawach orzekać stanowczo o istnieniu lub nieistnieniu duszy, ducha, ich własnościach i przyszłości? Rzeczywisty fizjolog, obeznany dobrze ze swym przedmiotem, szczerzy i rozsądny, może tylko tyle o tym powiedzieć, że w tej mierze nie wie i nie stanowić nie jest w stanie; możliwości zaś oderwanej nie podaje za rzeczywistość, a tym mniej jeszcze za niewzruszoną podstawę jakiegokolwiek naukowego gmachu.

Te uwagi prowadzą nas do potrącenia kwe-

sty, mającej dla naszego ogółu niemałe moralne znaczenie. Dzieło p. Claude Bernard'a ma dla nas jeszcze inną i to znakomitą ważność. Nadmieniliśmy z samego początku naszego rozbioru, że, według zdania pana Claude Bernard'a, główne podstawy obecnego swego rozwoju fizjologia zawdzięcza przedewszystkiem i prawie wyłącznie francuzom, a mianowicie Lavoisierowi i Laplace'owi którzy wykazali, że ciepło i procesa chemiczne w organizmie nie różnią się w niczem od podobnych procesów w przyrodzie, Bichat'owi, który wykazał, że wszystkie fizjologiczne zjawiska są prostem i bezpośrednim następstwem własności różnych tkanin i żywotnych mechanizmów, i Magendie'emu, który wznowił i utrwalił metodę eksperymentalną na żywym zwierzęciu w warunkach ściśle oznaczonych. Lecz p. Claude Bernard wspomina jeszcze o jednej podstawie, bez którejby fizjologia istnieć nie mogła, czyli raczej, bez której pojęcie życia jest niemożliwem t. j. że życie istnieć może tylko w skutek wzajemnego na siebie działania i środka zewnętrznego t. j. zewnętrznego świata i żywotnych własności organizmu i dodaje: *gdyż jeśliby zmieniono, czy to zewnętrzny środek, czy też organizm, lub je zniszczono, i życie samoby natychmiast się zmieniło lub istnieć przestało.* P. Claude Bernard stawiał tę zasadę jako niewzruszony naukowy pewnik, który całą naukę na nowe pchnął drogi i dał powód do wytworzenia się jasnych i ścisłych pojęć o życiu, będących według niego ostatecznym wynikiem całego naukowego ruchu aż do obecnej chwili. Otoż tę zasadę postawił jeszcze na początku tego wieku nasz *Jędrzej Śniadecki* w swojej wiekopomnej *Teorii jestestw organicznych*, jako logiczny wynik bystrych swoich spostrzeżeń, które sześćdziesiąt lat pracy mozolnej i głębokiej, przez tysiące osób prowadzonej, jak najzupełniej stwierdziły: „Gdy życie może tylko w odżywczej materii mieć miejsce,—mówi on (*), i to tylko w organizującej się, materia zaś nie może się organizować jak tylko w żyjących *indywiduach*, które nawzajem do własnego utrzymania ustawicznie odżywczej potrzebują materii, wypada: że i odżywcza materia *bezprzestannie* na *jestestwa* odżywione działać, i te na nią muszą, a życie jest w każdym przypadku *wspólnym* *wzajemnej* *tęj* *czynności* *wypadkiem*!” a T. I § 34: „Życie zatem *indywiduów* organizowanych w powszechności przywiązane jest do następujących warunków: a) w każdym *jestestwie* *żywionem* *siła* *indywidualna* *wywierać* *się* *zawsze* *i* *bez* *przerwy* *powinna*—b) każda *zostawać* *powinna* *w* *bezprzestannym* *z* *ciałami* *zewnętrznymi* *odżywiającemi* *związku*. *Usunięcie* *któregokolwiek* *z* *tych* *warunków*, *mogącego* *się* *rozpocząć* *życia* *nie* *dopuszcza*, *już* *rozpoczęte* *kończy*.” Zdaje nam się, że jednoznaczność tych pojęć a nawet samego wyrażenia, jest dostatecznie wybitna i jasna. Lecz nie dosyć na tym. Wszystkie prawie ogólnofizjologiczne zasady, które Claude Bernard w robieraniem przez nas dziele przytacza jako niewzruszone wyniki naukowego rozwoju aż do ostatnich czasów, mianowicie we Francji, wszystkie znajdujemy temi samymi prawie wyrazami wypowiedziane przez *Jędrzeja Śniadeckiego* już przed sześćdziesięciu laty. I tak np. Claude Bernard stawia tę zasadę, że „odżywienie jest niczem innym tylko nieustannem odradzaniem, a żyć i odżywiać się, są to synonimy.” Śniadecki zaś wyraża się: § 33 tom 1 „*Wszystkie* *żywione* *jestestwa*, *żyjąc* *organizują* *się*

(*) Teoria jestestw organicznych. Wyd. II. Wilno 1838. T. 1. § 205.

bezprzestannie; czyli co jedno jest, całe życie jest ciągłym i nigdy nieustającym procesem organicznym, albo nigdy nieustającą *assimilacją*. *Najważniejsza* *prawda* *do* *jakięj* *w* *nauce* *życia* *przyjść* *było* *można*, *a* *która* *nauki* *naszej* *teraźniejszej* *całą* *będzie* *zasadą*.” Jest mnóstwo ogólnofizjologicznych pojęć, któreśmy już powyżej przytoczyli, i które są postawione jako ostateczne wyniki nauki w obecnej chwili, jak np. „że wszystko w żyjącym organizmie się tworzy i nie do niego nie wchodzi przygotowane w całości,” albo „że w odwiecznej zamianie między państwem nieorganicznym i organicznym, *nie* *się* *nie* *tworzy*, *nie* *nie* *ginie*, *chemicznie*, *tylko* *z* *organicznego* *stanowiska*, *zmienia* *formę*,” że „wszystkie objawy życia mają miejsce o tyle, o ile im towarzyszą równocześnie odmiany zniszczenia, czyli że *śmierć* *daje* *początek* *życiu*,” że „w organizmie działają te same siły co i w wewnętrznej przyrodzie, lecz przejawiają się za pomocą *osobnych* *mechanizmów*, *przez* *życie* *wytworzonych*”, co właśnie jedno z najważniejszych nowoczesnych pojęć stanowi, to wszystko znajduje się w dziele Śniadeckiego przed sześćdziesięciu laty jasno i stanowczo wypowiedziane. Rzućmy np. okiem jak Śniadecki określa siłę żywotną (T. I. § 20) „Przyznać koniecznie potrzeba, iż *musiała* *kiedyś* *pierwiastkowo* *bydź* *wywartą* *na* *materię* *pewna* *władza* *czyli* *siła*, *która* *ją* *najpierw* *w* *kształt* *organiczny* *ulożyła* *i* *tym* *sposobem* *rozpoczęła* *w* *niej* *życie*,... (§ 21) iż siła owa, *dotąd* *trwa* *i* *zachowuje* *się* *nienaruszona*, *którą* *to* *siłę*, *organizującą* *albo* *organiczną* (żywotną) *nazywać* *będę*... (§ 27)... w każdym żyjącym *jestestwie* *jest* *pewna* *jemu* *właściwa* *siła*, *która* *z* *pierwiastkowego* *wszystkich* *ożywionych* *istot* *utworzenia* *pochodząc*, *organizacją* *tego* *jestestwa* *naprzód* *rozpoczyna*, *potem* *utrzymuje* *i* *doskonali*, *której* *zatem* *jestestwo* *to* *swój* *początek*, *kształt* *organiczny* *i* *zawisłe* *od* *niego* *własności* *jest* *wino*. *Takową* *siłę* *organiczną* *indywidualną* *wyżej* *nazwalimy*.” Czyż nauka po sześćdziesięciu latach rozwoju postawiła jakie dokładniejsze i jaśniejsze pojęcie o sile żywotnej? czyż nawet stronnictwo pozytywne może coś zarzucić temu określeniu? Są rzeczy jak np. o *środku* *wewnętrznym* jako wyrobie samodzielnym organizmu, będącym jedynym źródłem wszelkiego odżywienia, o *determinizmie* i t. d. których pierwsze postawienie Claude Bernard winykuje dla siebie, a które jednak jeszcze przed sześćdziesięciu laty Śniadecki jasno i stanowczo wypowiedział! Że Claude Bernard o tym nie wiedział, chociaż dzieło Śniadeckiego było tłómaczone na wszystkie niemal języki w swoim czasie, nie możemy się temu dziwić, mając szczególnie na oku własność Francuzów w ogóle nie zwracania uwagi na naukowe zdobycze innych narodów; że i Niemcy bardzo mało o tym wspominają, również nas nie dziwi, gdyż zwykle nie lubią oni upamiętniać tego, co inne narody zdobyły, zwłaszcza jeśli to się da milczeniem pominąć lub autora w Niemca zmienić nie można; ale temu trzeba się dziwić, żeśmy się sami wyparli tej zdobyczy duchowej, samorodnej, żeśmy nią pogardzili, oddali ją zapomnieniu. Zamiast zespolic się z samorodnym duchowym żywotnym wyrobem naszej przeszłości i rozwijać go dalej, obrabiając samodzielnie materiał dostarczany przez inne narody, jak to wszyscy inni czynią, myśmy pogardzili pracą, wyrzekli się własnej zdobyczy, aby te same prawdy, te same zasady, które tę zdobycz stanowiły, i z istoty naszego życia wypływały, przyjąć z ust cudzych, jako myśli i zasady nowe, które też obleczone w formę, nie przystającą do naszej or-

ganizacyi, nie twórczo ale zgubnie, rozkładająco, działać muszą. Francuzi cofnęli się naukowo, bo się ograniczyli na sobie samych, nie zwracając uwagi na to, co się działo po za granicami ich kraju i pogardzając nawet tém wszystkiém; lecz że pomimo to praca twórcza ich nie ustawała i zaufanie we własne siły, w narodzie nie zginęło odrodzenie szybkim krokiem postępuje naprzód, pomimo olbrzymich klęsk, któreby inny naród w tych warunkach zniszczyły; myśmy zaś wzgardzili przeciwnie tém wszystkiém co swoje i samorodne, a żyjąc nieustannie obcym wyrobem, obcym życiem, jałmużną niejako zniszczyliśmy nawet do szczytu wszelką siłę twórczą w sobie, zniszczywszy najprzód wszelkie zaufanie w swe własne siły i umiejętne ich użycie. Cała dzisiejsza szkoła przejęła się np. darwinizmem i walczy zapalczywie pod jego sztandarem. *Walka o byt* stała się jój hasłem, a rozplynięcie w naturze zwierzęcej (umysłowo) jój znamieniem; zdaje się jój, że to sztandar nowy, cechujący niezmierny postęp; tymczasem przeczytajmy co Śniadecki mówi o *walce o byt* (T. I § 54): „Życie i utrzymywanie się roślin, znajduje swoją pewność w samym składzie przyrodzenia, taka albowiem jest natura powierzchni ziemi, z której rośliny żywność pompują, że jój niemal nigdy na materji odżywczej nie zbywa, taka konstytucya atmosfery, że i sama potrzebnych roślinom pierwiastków dostarcza i ziemię wilgocią dostateczną napawa. Zwierzęta zaś wszystkie, ciągle wyszukiwaniem, zgromadzeniem i zapewnianiem sobie materji odżywczej są zajęte; ubiegają się za nią, wojnę jedne z drugimi toczą, niszczą się i pożerają nawzajem. Ten to jest ostateczny zamiar, ta prawdziwa przyczyna wszystkich starań i zabiegów człowieka, to prawdziwe źródło jego przemysłu, który rośnie lub upada w miarę jego potrzeb, ten powód jego chciwości, żądności, ambicji, chęci celowania nad innych, jedném słowem wszystkich jego namiętności i poruszeń. Od tego początku filozofowie, chcący naznaczyć prawa moralnym człowiekowi czynnościom, uwa-

gają, którzy starają się go oświecić.” Czyż *Marx Stirner, Vogt, Moleszot, Darwin* i cała falanga nowoczesnych pozytywistów lub też materialistów powiedzieli o tém przedmiocie coś dobitniejszego i wyraźniejszego? czyliż dodali jakie nowe pojęcie do tych przed sześćdziesięciu laty skreślonych wyrazów? Przeciwnie on i tę myśl, jasną i prostą, a przez to i wzniosłą, zagmatwali, zciemnili, zbrudzili, zbezczeszcili wywodami, do których ich nie a nie nie upoważnia, a

jącego je ducha. Lecz ten ostatni nie może być przedmiotem żadnej nauki fizycznej, a zatem ani celem uwag naszych, które od rzeczy pod zmysły i doświadczenie podpadać mogących, odstępować nie powinny. A lubo filozofowie niektórzy ten sposób tłumaczenia nawet do nauk fizycznych przenoszą, dzieląc wszystkie rzeczy stworzone na materjalne i niematerjalne, i uważając te ostatnie za sprzężnę wszelkiego poruszenia i wszelkich odmian; wszelako, przyznać potrzeba, iż takowe tłumaczenie, nie będąc fizyczne i do okazania przez doświadczenie niepodobne, w naukach rzetelnych, na świadectwie zmysłów opartych, za początek brane być nie może. W innym miejscu ostrzegłem, iż mając zamiar tłumaczyć tylko teoryje życia fizycznego, wszelkiemu organicznemu stworzeniu właściwego, nie mogę dotykać się żadnej nauki i zasady niefizycznej, która by do tłumaczenia bytu istot niematerjalnych służyć mogła. Zostawiam więc te uwagi umiejętnościom właściwym, które, nie będąc moim przedmiotem, zatrudniać mię nie powinny. Oprócz tego chcę zgłębić pierwszy początek wszystkich sił, pierwsze, że tak rzekę, natchnienie materji, a zatem pierwsze źródło wszystkich odmian fizycznego świata, jest i niepodobna i niepotrzebna. Niepodobna, bo w rzeczach fizycznych nie wolno rozumować, tylko na fundamencie pewnych postrzeżeń i bardzo prostych doświadczeń, a na takowe twierdzenie żadnego doświadczenia mieć nie możemy, bo pierwsze przyczyny rzeczy muszą dla nas zostać nieprzeniknioną tajemnicą na zawsze; niepożyteczna, bo bez tego wszystkie wzajemne rzeczy, pomiędzy sobą i z nami, stosunki poznać i ocenić dosyć doskonale można. I dla tego zdrowy rozum i rozsądek każe nam tylko śledzić siły jako nieznaną przyczynę pewnych statecznych odmian, okazać przez doświadczenie skutki, z których dowodzimy ich bytności, tudzież wynaleźć i określić prawa, podług których działają, nie wchodząc w istotną



MADONNA. (Rzeźba Kucharzewskiego).

my zamiast poić się czystą krynicą własnej naukowej naszej tradycyi, zamiast przyjąć owe wywody jako stanowisko już przebyte, *überwundener Standpunkt*, jak się Niemcy wyrażają, my natomiast grzeźniemy w to błoto, mając już od dawna wytkniętą suchą i kwiecistą ścieżkę, prowadzącą do wyższych i wznioslejszych prawd. „Fizyologowie,—mówi on dalej, (§ 245 t. II), przyjmują powszechnie dwie w cie-

le ludzkim istoty, to jest: samo ciało i odżywia-

naturę tych sił: i ta jest granica, której umiejętności rzetelne nigdy przestępować nie powinny. Wszakże resztę można zostawić metafizykom, którym jedynym nie jest broniono puszczać wolne cugle władzy rozumowania, nawet za granice natury, ale strzeżmy się przenosić potem te rozumowania do umiejętności rzetelnych.”

Można jasniej, wybitniej i dokładniej nakreślić podstawy prawdziwego i rozumnego pozytywizmu, znającego dokładnie i swoją doniosłość, i swoje władze, i swoją potęgę, i swoje granice, po za

które mu sięgnąć nie wolno, jeśli nie chce stać się fałszem, błędnym ognikiem, prowadzącym na zgubne bezdroża? Dość przeczytać ten ustęp i to co Śniadecki mówi o sile żywotnej, o jej początkach i związku ze światem zewnętrznym, fizycznym, aby się przekonać, że pomimo tożsamości poglądu, co do materialnych podstaw rzeczy, jest różnica w tém, iż Śniadecki wskazuje zarazem kierunek, w którym postępować należy, aby uniknąć dróg zgubnych i wiodących wprost do moralnego rozstroju i upadku.

Czyż więc od czasu Śniadeckiego, zapyta czy-

nie mogły być wiadome. Obowiązkiem zaś świętym było uczniów Śniadeckiego, a zatem tych, w których on żywym słowem przelewał swe przekonania—tych ciał naukowych, których nietylko streszczenie nauki, ale i jej rozrobienie i rozwój jest obowiązkiem, a które na nieszczęście u nas dotąd tylko zaledwie wegetowały—tych pism, które przedstawiać winny każdo-chwilowy stan nauki i zamiast zapełniać szpalty szumnymi, nadętymi życiorysami i nekrologami, wzbijającymi skromne bardzo zasługi do potęgi wiekopomych czynów, o których świat nazajutrz po prze-

powodu uznaliśmy za rzecz stosowną zwrócić uwagę.
S. B. W.

KORESPONDENCYA.

Berlin, w Sierpniu 1872 r.

Wśród upału, kurzawy, nieobecności dworu i wszelkich innych znakomitości, najzupełniejszej martwoty życia publicznego, naukowego



CZWARTEK NA GRZYBOWIE.

Rysował z natury Władysław Dmochowski.

telnik, nie ma postępu? a jeśli jest, na czémże polega? Natém, że to, co Śniadecki stawiał jako rozumowy postulat, na mocy logicznego *induktywnego* wyvodu, wychodząc z najprościejszych i każdemu wiadomych objawów bytu i życia, to wszystko zostało stwierdzone za pomocą metody eksperymentalnej,—za pomocą doświadczenia, eksperymentu. Nowością rzeczywistą w tym postępowym ruchu jest zatem metoda sama, a w skutek tego i wyjaśnienie mnóstwa szczegółów, które Śniadeckiemu, niewładającemu tą metodą, i nie będącemu świadkiem olbrzymiego jej rozwoju,

czytaniu zapomina, wiązać powinny przeszłość z przyszłością,—obowiązkiem ich było, mówimy, wyniki użytej nowej metody godzić z przekonaniem mistrza i ziomka, a jeśli już sami nie zdolni byli do prowadzenia prac samodzielnych w tym kierunku, stać na straży chwały narodu i prostować przynajmniej kierunek w przyswajaniu sobie zdobyczy obecnej i osnowaniu na niej swego życia i pracy.—Oto nauka, którą nam Claude Bernard daje w swoim wzywie przytoczonym dziele, i na którą z tego

i artystycznego, wśród całej pełni rozkoszującej na bruku berlińskim *saison morte*, zdarzają się przecież jeszcze wypadki godne nietylko już wzmianki w kronice miesięcznej ze stolicy monarchii prusko-niemieckiej, ale co ważniejsza, rzucające mimo pozorniej swęj drobiazgowości charakterystyczne światło na prawdę i we wnętrzu stosunków społecznych Berlina. Niejednokrotnie, być może, iż za często nawet dla cierpliwości łaskawych czytelników naszych, pozwalamy sobie twierdzić w naszej berlińskiej kronice, iż stolica nowęj monarchii niemieckiej zaczyna

być coraz mniej podobną do stolicy dawniej monarchii pruskiej, że w skład jej ludności poczynają wchodzić żywioty nowego rodzaju, a bardzo problematycznej wartości, że męty wody przyprawowej zanieczyściły kryształ owego spokojnego, wypróbowanej uczciwości łożyska, którym się toczył dotąd potok powszedniego życia berlińskiego *Spießbürgerthumu*. Dzięki uchwalonemu przez sejm Rzeszy prawu dowolnego przenoszenia się z miejsca na miejsce, rzucił się cały tłum najrozmaitszych pierwiastków z całych Niemiec do Berlina, i zaczyna poddawać coraz większej wątpliwości wartość liberalnej ustawy *der Freizügigkeit*. Dotykany a pouczający tego przykład miał Berlin na rozruchach, które zakłóciły w tych czasach spokojność we wschodnich częściach miasta. Pospolity zatarg między podejrzanej moralności lokatorką a gospodarzem domu, wyproszenie pierwszej przez drugiego, prawda, że nieco przymusowe, wystarczyło, by dać Berlinowi widowisko „dni lipcowych” i pozwolić mu nie na deskach opery, lecz na ulicy oglądać ustępy Masaniellowego ruchu z *Niemiej z Portici*. Drobną owa sama przez się uwertura dała hasło do skandalicznych wybryków na Blumenstrasse, Grosse Frankfurterstrasse, Lundsbergerstrasse, Andreasplatz. Rozhulane pospólstwo szturmowało domy, tłukło latarnie, bombardowało kamieniami wojsko i policję, usiłowało wreszcie, odnawiając tradycje dawno zapomniane, wznosić barrikiady. Nie potrzeba naturalnie powiadać, że ostatecznie p. Tempeski półkownik konstabłów w połączeniu z batalionem piechoty i szwadronem kawalerii zwyciężyli ten kanikularny wybryk, na który ze strony zwłaszcza majątniejszej i posiadającej własność części publiczności berlińskiej, nie kłamane a jak najogólniejsze objawia się oburzenie. Dla tego też może właśnie jest tym troskliwszą chęć tak władz policyjnych, jak władz śledczych sądowych, zajrzeć w grunt rzeczy, i przewiadując się, co może być powodem rozruchów, które nosząc bez wszelkiego charakteru politycznego, jedynie tylko cechą rozpasania i swawoli, zwiastują przecież Berlinowi brukowe istnienie materyału, z jakiego się rekrutować zwykły wszelkie armie czy to czerwcowych rozruchów czy też komuny paryskiej. *Hodie mihi, cras tibi*, woła przez nędzną w gruncie rzeczy awanturę na Blumenstrasse i Andreasplatz zwyciężony Paryż zwyciężkiemu Berlinowi, a sądowe śledztwo wykazuje, co nie najmniej w całej tej sprawie ciekawe, że na 85 osób przytrzymanych z powodu owych zająć, jest tylko 8 Berlińczyków, kiedy cała ogromna reszta składa się z elementów napływowych i postronnych. Cała ta sprawa stoi w niezaprzeczonem związku z głównym owym kłopotem berlińskim, trudnością zyskania i drogocnością mieszkań, której wzniesieniem drewnianych baraków w naszym północnym klimacie trwale zaradzić naturalnie nie można, która, zaś właścicieli domów i lokatorów, zwłaszcza lokatorów bez dachu, na dwa przeciwne sobie dzieli obozy.

Przechodząc od tej pierwszej, we wszystkich ustach i na porządku dziennym będącej kwestyi, do innych, winniśmy wzmiankę mającemu stanąć tutaj w ciągu b. m. pomnikowi ojca turnerstwa niemieckiego Jahna, nazywanego w całych Niemczech *Vater Jahn*. Już to nie żałowano ostatecznie czasy w Berlinie i w całych Niemczech demonstracyj i pomników ku uczczeniu pamięci najrozmaitszych znakomitości niemieckich. Stał na placu Żandarmów pomnik Schillera, w Lustgardenie pomnik króla Wilhelma, w Nassau barona Steina; teraz projektuje się pomnik Göthego w *Thiergartenie* i Maury-

wego Arandta na jego rodzinnej, ongi słowiańskiej wyspie Rugii. Najbliższym urzeczywistnienia jest przecież wspomniany pomnik „*Ojca Jahna*,” którego odsłonięcie łączy się z odpowiednią uroczystością młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej. Przy tej sposobności nie od rzeczy może będzie przypomnieć szanownym czytelnikom osobistość bohatera mającego stanąć pomnika. Imię jego łączy się ściśle z epoką panowania napoleońskiego w Niemczech i nazwiskami Arndta i Steffensa. Ekscentryczny patryota niemiecki, z długimi zapuszczonemi włosami, z olbrzymią brodą, z małą czapczką na głowie, w krótkim, czarnym manszestrowym surduciku, z laską *Ziegenhaynessa* w ręku, pół-bursz, pół oryginał brukowy, chodził Jahn po Berlinie, a jak i u nas swego czasu bito chłopców na kopcach granicznych, by pamiętali jak daleko własność ojcowska sięga, tak i „*Ojciec Jahn*” wymierzył ulicznikowi przed *Bramą Brandeburską* policzek, by pamiętał, że zdobywcy francuzcy zdjęli z niej boginię zwycięstwa z czterema rumakami. Policzek ten stał się historycznym w Niemczech i przysporzył *Ojcu Jahnowi* wiele sławy. W latach 1813, 14 i 15 odznaczał się Jahn nader zapalną przeciw nieprzyjacielowi... wymową; po wojnie zaś obrał sobie za rodzaj specjalności propagowanie tak zwaną staroniemieckiej odzieży, „*der alt-deutschen Tracht*” i organizacją stowarzyszeń turnerowskich. Niewinna ta zabawka affektowanego oryginała trafiła przecież na niefortunną epokę, na czas, w którym mimo godła turnerów: *frisch, frei, fromm*, ich kapelusze, kije i czarne surduciki przesławiano jako objawy i czyny demagogii. W zarządzone roku 1819 przez ówczesnego ministra pruskiego Kamptza przeciw tak zwanym demagogom śledztwo, znalazł się zawikłanym razem z Maurycem Arndtem, bardzo niewinnie i bez wszelkiego namacalnego powodu, nawiasowo powiedziawszy. Mimo to starczyły ekscentryczne gadaniny i organizacja towarzystw turnerowskich, by sięgnąć na Jahna przesławiania, które ostatecznie streściły się we wskazaniu mu przymusowego pobytu w rodzinnem miasteczku Freybergu nad rzeczką Unstrut. Tutaj przeżył stary oryginał długie jeszcze lata, zapomniany za życia przez współczesnych, przypominający im się zgonem w sędziwym wieku. Dziś stawiają mu pomniki, za co właściwie i po co, nie umielibyśmy powiedzieć właściwie. Czegóż jednakże nie ma być wolno zwycięzcom na polu bitwy i posiadaczom miliardów?

Obok tych pomników dla wielkich czy mających być wielkimi zmarłych, wysła się też zmysł architektoniczny Berlina i Niemiec na zarządzenie co prędsze istniejącej potrzebie przez wystawienie wspaniałego, godnego wielkiego państwa gmachu parlamentarnego dla sejmu Rzeszy Niemieckiej. Podobnie jak na posąg mający się wystawić Göthemu zebrało się sześćdziesiąt kilka modeli we wspaniałym przedsiönku Nowego Muzeum, tak i plan wystawienia nowego gmachu parlamentarnego wywołał współubieganie się między pierwszorzędnymi architektami Niemiec, z których każdy przesłał swój model, oraz kosztorys do Berlina. Pisarze tutejsi rozwodzą się raz po raz w dziennikach swych nad tym przedmiotem, o którym nam wtedy dopiero szerzej pomówić przyjdzie, gdy jeden z licznych projektów zyska zatwierdzenie wyznaczonemu temu komissyi i pocnie wchodzić w wykonanie.

Zresztą odpoczywa najzupełniej, zwłaszcza jeśli pominiemy koncerty ogrodowe, życie arystokratyczne w Berlinie. Jedyna pociecha dla przejezdnych i przyjezdnych teatr na sali Krolla,

gdzie w tych dniach dał się słyszeć młody Wachtel, syn znanego rozgłośnie śpiewaka. Krytyka, surowsza zresztą i więcej wymagająca w Berlinie, niż gdziekolwiekby indziej, przyznaje młodemu artyście talent, nie wyrównujący wszakże nigdy talentowi ojca.

Tak tu, jak na prowincyi nabrała nie mniej zapewne z powodów filantropijnych, jak z przyczyny posuchy wszelkich ważniejszych rzeczy, niesłychanych rozmiarów, sprawa wykradzonej przez bandę Cyganów w okolicy Stralsundu, czteroletniej Anny Böckler, córeczki zamożnego w tamtych stronach dzierżawcy. Sprawa ta wychodzi na pierwszorzędną *cause célèbre* obecnej chwili, poczynają gonić o lepszą z tajemniczym Kasprem Hauserem, jeśli nie Żelazną Maską. Nie ma gazety w całej monarchii pruskiej, nie wyjmując polskich, gdzieby nie było rysopisu porwanej dziewczyny i ogłoszenia 500 tal. nagrody za jej odnalezienie. Fotografie naturalnej wielkości przesyłają do wszystkich dyrekcji policji całej monarchii; cała armia policyjna pruska w ruchu za włóczącymi się Cyganami, na których odbywa się systematyczne polowanie. Raz po raz donoszą dzienniki, że widziano małą Annę w Turyngii, nad Renem, w Księstwie Poznańskim, w Prussiech Zachodnich, na Szlązku lub nad granicą czeską, a wszystko jednakże okazuje się niczem innem, jak dziennikarską kaczka, a wszelkie poszukiwania były dotąd nadaremne. Zresztą wywołuje tu ów filantropijny zapal często bardzo niekoniecznie filantropijne objawy. Tak np. pochwyciło pospólstwo w jakimś szląckim miasteczku przejeżdżającą rodzinę żydowską, spośród której znajdowała się dziewczynka z jasnymi włosami, tak, że dopiero interwenycja władzy policyjnej z niebezpiecznych kleszczy pochwyconych biedaków wyswobodzić była zdolną. Tak dalej łowią i przesławiają wszystkich Cyganów na obszarze całej monarchii, gdziekolwiek ich spotkają, chociaż naturalnie nie wszyscy Cygani razem zbrodni tej dopuścić się mogli. Nadto nie łatwiejszego i nie prawdopodobniejszego, według samychże ogłoszeń nawet sędziego śledczego, że biedne dziecko zginęło jakim bądź innym przypadkiem i że cały udział Cyganów w jej porwaniu czy zniknięciu jest płodem fantazyi. Dziś jednak nie radzilibyśmy nikomu z podobną refleksją występować: cyganofagia jest w skutek wypadku z Anną Böckler równie na porządku dziennym, jak polowanie na jezuitów i wojna z ultramontanami, a biada w Niemczech każdemu, kto się osmiela w czémkolwiek i kiedykolwiek płynąć przeciw strumieniowi chwili.

W literaturze niewiele nowego zapisać nam przychodzi. Studium bezimiennego o *Systemacie filozofii ks. of Shaftesbury* w XVIII w. nazwalibyśmy najcelniejszą ze wszystkich nowości literackich. Wzmianka o pierwszym tomie dzieła sztabu generalnego pruskiego o wojnie francuskiej z r. 1870 nie wiem, jak będzie do twarzyć waszemu *par excellence* pokojowemu i artystycznemu czasopismu. Natomiast zasługuje jeżeli nie wartością, to rozmiarami na kilka słów przynajmniej wspomnienia 3ch-tomowe dzieło pierwszy raz występującego autora, niejakiemu p. Hennego von Rhyn, pod tytułem: *Kulturgeschichte der Neuenen Zeit, von Wiederaufleben der Wissenschaft bis auf die Gegenwart*. Dzieło to skreśla, a raczej ma pretensję skreślać dzieje oświaty europejskiej, poczynając od reformacji w XVI wieku aż do obecnej chwili. Bez głębszych studyów, bez oryginalnych poglądów, streszcza to dzieło dotychczasowe rezultaty nauki dziejowej, pomijając dzieje polityczne państw, jako objawy

ambicyi i siły materyjalnej, ograniczając się jedynie na charakterystyce wielkich idei cywilizacyjnych, które były sprężynami postępu świata i widomemi ich reprezentantami. Przeciw podobnemu stanowisku nie mielibysmy nic do nadmienienia, gdyby nie popadał co chwila w komunały, gdyby definicye jego, jak np. nowoczesnego liberalizmu niemieckiego z r. 1830 do 1840, nie były wielce płytkie, gdyby wreszcie dla wytłomaczenia i rozwiązania zagadki istnienia i działalności ludzi historycznych, jak np. w dziejach Francyi Robespiera i Napoleona, był znalazł inną formułkę, niż tani i zdawkowy frazes, że obaj rządzący się tylko ambicyą, że dla tego nie mogli sięgać po żadne ideały, i że dla tego nie w rezultacie ani Francyi, ani ludzkości nie przynieśli. To trochę zbyt powierzchowne sądy, jak na historyzofów trzech-wiekowej cywilizacji europejskiej!

Otrzymałmy od pana Korzona list następującej treści:

„Do Redakcyi czasopisma illustrowanego *Wiennica*.”

W Nr. „*Wiennica*” z dnia 26 lipca b. r. zamieszczoną została wzmianka bibliograficzna o moim „*Kursie Historii W. Średnich*” bez podpisu autora. Zmuszony więc jestem zaadresować wprost do szanownej Redakcyi następujące sprostowania:

a) W artykule powiedziano: „Tak np. w poglądzie na stan upadającego Rzymu nie znajdujemy ani słowa o położeniu ekonomicznym prowincyi i o powszechnym bankructwie.” W książce zaś znajduje się na str. 6, w wierszach 1—6 ustęp dostatecznie charakterystyczny, jak na paragraf przygotowany do wieków średnich, do których Rzym starożytny nie należy.

b) W artykule powiedziano: „W świecie słowiańskim autor nie dotknął stosunku niezależnej i gminnej własności ziemskiej—stosunku nieobliczonej wagi w rozszczepieniu się narodu na dwa stany.” W książce zaś dotknięto: 1) na str. 154 w. 3—10, 2) str. 166 w. 16—20, 3) str. 175 w. 2—3, 5) str. 321 w. 6—15, 5) str. 322 w. 1—3 od dołu, 6) str. 446 w. 13—16, a nadto wytknięto za pomocą napisów obocznych: „Tworzenie się szlachty,” „Wzrost możnowładztwa,” tudzież za pomocą pisma tłustego: „ustalenie prawa osobistej własności (zamiast dawniej słowiańskiej wspólnoty, porównaj § 60) i prawo dziedzictwa.”

c) „Co do wykładu samego razi on niekiedy bezładem etc.” Gdy w kursach bezład jest grzechem śmiertelnym i ich użyteczności najbardziej zagraża, żaluję przeto, iż w artykule nie są szczegółowo wytknięte ustępy „bezładne,” oraz że mi wskazaną nie została lepsza systematyka odnosnych przedmiotów.

Nareszcie co do poglądu ogólnego, gdzie artykuł wyraża żal „że autor nie skierował studyów swoich na pole badań oryginalnych, a poprzestał na kompilacji nie źródłowej,” poczuwam się do obowiązku zaniesć słowa pociechy przez następczenie pary następujących uwag:

Badania oryginalne z kronik, dyplomatów, pomników etc. prowadzą się tylko w historii specjalnej, nigdy w powszechnej, a przenigdy w kursach, oprócz źródeł bowiem trzeba znać całą literaturę odnośną, bo inaczej badacz (jak to się czasem zdarza) robi odkrycia, od dawna światu naukowemu znane, lub popełnia omyłki, od dawna już z nauki uprzątnięte. Tymczasem, podług nie wynaleziono sposobów większego przyspieszenia pracy umysłowej, zadanie takie jest nieco przytłaczające na siły człowieka, gdyż same

tytuły dzieł źródłowych i znakomitszych opracowań w *Przewodniku do Historii W. Śr. Potthasta* zabiera przeszło tysiąc stronic. To też obecnie literatura europejska nie posiada jeszcze żadnego dzieła, obejmującego czy to *Dzieje Starożytne*, czy *Wieków Śr.*, czy *Nowożytnych* opartego na „badaniach oryginalnych.”

Postawione mi za wzór dzieło p. Stasiulewicza jest kursem chyba uniwersyteckim, a raczej wypisami historycznymi; podobne sporządzają się dla zakładów naukowych niemieckich, wszakże nie dla wykładu, lecz dla dostarczenia luźnych wprawdzie, ale żywych ilustracji do kursów. Zresztą dzieło p. Stasiulewicza, przy mniej skomplikowanym programacie, obejmuje 2,554 dużych stron, a sięga tylko ostatniej krucjaty, która w moim kursie kończy się na str. 222. Z podzielenia tych cyfr wypada iloraz $11\frac{1}{2}$. Przypuszczając, że reszta *Wieków Średnich*, jakkolwiek obfitsza w pisarzy i wypadki, dałaby się wyłożyć w tym samym zakresie, wynika ztąd, że przy zamianie mojej osobistej dykcyi oryginalną mową kronikarzy, musiałbym napisać, zamiast jednego, przynajmniej $11\frac{1}{2}$ takichże tomów i w dodatku może oberwać od Niemców podobny sąd, jakim obdarzył Potthast pracę Stasiulewicza: „bogata, ale przepełniona błędami.”

Mam zaszczyt złożyć etc. T. Korzon.

(Przypisek Redakcyi). P. L. S., autor bibliograficznej wzmianki, o której mowa, nie odwołuje tego, co raz powiedział o dziele p. Korzona. Pomiędzy stronami niech zawyrokują czytelnicy, którzy w każdym razie wygrają, gdyż pragnąc spór rozsądzić, odczytają poważne dzieło.

CZWARTEK NA GRZYBOWIE

Warszawa jako ognisko handlu i przemysłu Królestwa, jest punktem gromadzącym w sobie znaczną ilość jego produktów, rozsyłając w zamian od siebie na prowincyę tak własne produkty jako i zagraniczne. Przesyłka odbywa się nie tylko Wisłą, kolejami żelaznymi, ale również w sposób tak zwany *na osiach*. Transportem na osiach trudnią się u nas wyłącznie starozakonni, stanowiąc niejako oddzielną korporacyę, rządzącą się ustalonemi między sobą zwyczajami, których tak ściśle przestrzegają, że wszelkie przystanki, pojenia koni, popasy, i t. p. w jednych i tych samych miejscach od niepamiętnych czasów odbywają. Obok transportów towarów, zabierają również i podróźnych dla których od daty zniesienia ceł pocztowych zbudowali oddzielne wehikuly. W budowie ich nie zwracano bynajmniej uwagi na wygodę podróźnych, lecz głównie na tę okoliczność aby ich można było jak najwięcej pomieścić. Rycina na str. 631 przedstawia właśnie chwilę powrotu furmanów do Radomia i Szydłowca, jaki zwykle ma miejsce w dniu czwartkowe.

MADONNA

(RZEŻBY KUCHARZEWSKIEGO).

Drzeworyt na str. 630 przedstawia model Madonny umieszczony w salach tutejszego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, pomysłu pana Kucharzewskiego, mający się przezeń wycisnąć, z wapienia pińczowskiego dla kościoła we wsi Łopacinie gubernii Płockiej.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

STANOWISKO AKTORA W SPOŁECZEŃSTWIE (*)

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 68).

Aktor występujący obowiązany był prosić z pokorą, aby go słuchano; „panowie, upraszam o łaskawe posłuchanie” było zwyczajną formułą. Po skończonej walce w czasie igrzysk, klęcząc oczekiwał z uszanowaniem rozstrzygnięcia sędziów. Tacyt mówi o Neronie: „W końcu przykląkł na jedno kolano, poruszeniem ręki złożył ludowi akt uszanowania, i z udaną obawą czekał wyroku sędziów.” Bojaźń histryonów była rzeczywistą; z cierpliwością musiał się każdy poddać naganie niezadowolonych widzów. Swetoniusz pisze: „August kazał wypędzić Pyladesa z Rzymu i Włoch, że wskazał palcem tego, który go sykał.”

Wszystko to są świadectwa autorów żyjących przed Chrystusem, lub niebędących chrześcianami, i dowodzą najdokładniej: że przesąd większy lub mniejszy, utrzymując się do dziś jeszcze u wszystkich niemal narodów, nie powstał z wprowadzeniem chrześcijaństwa, ale był dziedzictwem po starożytnych. To jednak nie ulega wątpliwości, że wstręt do wszelkich światowych rozrywek powiększyła nowa nauka.

Konstantyn przyjąwszy wiarę chrześcijańską, przeniósł stolicę państwa do Bizancyum. Kościół prześladowany od czterech wieków przeszło, stał się samowładnym, zamknięto świątynie bóstw lub przemieniono je na domy ku czci prawdziwego Boga. Biskupi przejęli obowiązki, pracowali usilnie nad wzmacnianiem żarliwości wiernych, i żeby dać dobry przykład pogaństwu, działać skutecznie na nawrócenie, żyli w najsurowszej wstrzeźliwości, i we wzorowych obyczajach. Łatwo więc domyślić się można, że wzbranił wszelkich świeckich widowisk i zabaw, nie pozwalając przyjmować w nich udziału. (*Recherches sur les théâtres de France. De Beauchamps*).

Nie powinny nas zadziwiać surowe zdania ojców kościoła Tertulliana i Cypryana, ale czytając co pisze Minutius Felix: „Aktor wystawia nam cudzołóstwo albo je objaśnia,” z żalem wspomnieć musimy francuzką scenę, której dzieła od niejakiego czasu za treść obrały cudzołóstwo, i której repertoar stanowi przeszło 300 sztuk w tym duchu napisanych.

Synod w Elwirze wydał rozkaz, ażeby każdy mim, przed przyjęciem wiary, zrzekł się swojego rzemiosła, i żadna chrześcianka nie mogła zaślubić aktora pod karą klątwy. Wprawdzie w Chryzostomie napotykamy okropny obraz ówczesnych histryonów, ale komuż nie przyjdzie zaraz na myśl drugi akt Hugonotów? któż nie powtórzy z Ben Akibem: „Wszystko to już było!” W teatrze z nadzwyczajnym zadowoleniem, ze wzniesionego miejsca przypatrywano się zalotnicom, które nago bawiły się w wodzie. Izidor z Peluzy, w swoim trzecim liście utrzymuje: „Celem sztuki aktorskiej nie może być poprawa, bo gdyby w istocie ludzie poprawiali się przedstawianemi im dramatami, sztuka aktorska (?) upasłaby musiała.” Synod w Arles uznał komedyantów za oderwanych od kościoła, a znane ich usposobienia spowodowały wydawanie surowych rozkazów cesarskich od 438 do 534 r.

(*) Według Adolfa Szwarza. „*Deutsche Warte*.”

Według praw pretoryańskich, aktorowie ogłoszeni zostali za ludzi ze czci wyzutyeh.

Juliańskie postanowienie zabraniało Senatorem lub należącym do rodziny senatorów, żenięcia się z osobą, która albo sama była aktorką, lub spokrewniona była z aktorami. Podobny zakaz znajdujemy i do co płci żeńskiej z senatorskich rodzin. Mężowi wolno było zabić aktora schwytanego na cudzołóstwie w swoim domu; inne prawo karało śmiercią żołnierza, jeżeli został aktorem. Nadto uczęszczanie żony na widowiska bez pozwolenia męża było prawną przyczyną do rozwodu, a dzieci poświęcające się zawodowi teatralnemu bez woli rodziców, mogły być prawnie wydziedziczone.

Zdarzało się jednak, że często sami panujący naruszali istniejące prawa, albo przez siebie wydane, jak np. August, który zmuszał Laberyusza rycerza występować publicznie jako mim, za co obywatele uznali go czci pozbawionym. Wprawdzie dyktator przywrócił mu rycerską godność ale utraconej opinii przywrócić nie mógł. Cy-cero, namiętny przyjaciel Roscyusza, nie pozwolił mu w teatrze usiąść obok siebie, dając tym sposobem uczuć przedział istniejący pomiędzy nimi.

Za późniejszych cesarów srogość względem aktorów doszła do tego stopnia, że pewnego dnia żywcem spalono aktora przedstawiającego Herkulesa, wybrano jednak na tę rolę przestępcę na śmierć skazanego. Dopiero w szóstym stuleciu korona przestąpiła prawo literalnie. Wiadomo bowiem, że Teodora żona Justyniana była tancerką.

W okresie od VII do XI wieku nie napoty-kamy żadnego śladu o losach aktorów, i dopiero misterye pozwalają nam pochwytać wątek opowiadania.

W widowiskach tego rodzaju dawanych w Anglii, Francji, Włoszech, Hiszpanii, Niemczech i Polsce, znajdujemy początki rozwinięcia się dzisiejszej sceny. Ponieważ te przedstawienia, zwłaszcza przy ich pojawieniu się, nie miały zysku na celu, lubo później przyjmowano z wdzięcznością każdy datek, czy to ubioru, czy klejnotu jakiego, lub wreszcie żywność, a może i dla tego, że za miejsce do tych widowisk dobrze płacono, nie poniżano ich wcale. Dopiero w ten czas odezwały się przeciwne głosy, kiedy znalazła się pewna klasa ludzi, którzy te przedstawienia przyjęli za powołanie, sposób do życia, nadając im cechę czysto świecką. W XIV wieku ukazali się w Anglii tak zwani *Vagrants*, uznani za pierwszych prawdziwych komedian-tów, ponieważ odstąpili zupełnie od przedstawień treści religijnej. Wkrótce zapędzili się tak daleko, że niebawem za panowania Edwarda III akt parlamentu skazał ich na chłostę i wy-pędzenie z Londynu. Stefan Gossou w r. 1579 napisał: „Szkolę hańby”, broszurę wymierzoną wprost przeciw aktorom, zaliczając ich do poetów, muzykantów trefnisiów i t. p. motłochu podkopującego dobrobyt państwa, owoczesna zaś uchwała parlamentu stawia aktorów na równi z włóczęgami; dziwnym się jednak upodobaniu królowej Elżbiety protektorki króla poetów, którą w dramie Palaemon, nadzwyczaj zajęło wycie-psów myśliwskich, naśladowane wiernie przez

aktorów. Role kobiece bywały wówczas grywane przez chłopców, i Szlegel w odczytach swoich o literaturze i sztuce uważa: że płci pięknej tylko w maskach uczęszczać było wolno na widowiska. To rażące rzuca światło na treść sztuk przedstawianych i na autorów którzy im nadawali życie. I dziś może maski nie byłyby zbyteczne przy przedstawieniach niektórych utworów, jakimi nas od niejakiego czasu tak hojnie obdarza zbyt uboga w prawdziwe talenta a bogata nadzwyczaj w dowcip i obrazy wstrętne, literatura francuzka w swoim upadku!

Z niektórych sonetów Szekspira łatwo wniesć można, że on sam swój zawód uważał za poniżenie.

Niesłusznie przyjaźń przeciw mnie powstaje,
Oprzeć się losom nie miałem dość siły;
O czemuż mię na tę drogę porzuciły!
Jakie zajęcie takie obyczaje.

A w innym miejscu:

Tylko miłość twoja zdola
Zetrzeć piętno z mego czoła,
Jakie na niem lud wycisnął.

Dopiero po opuszczeniu sceny, znalazł przy-jaciela i protektora w hrabi Southamptonie. Napisa-ny przez Prynne'go w r. 1633 „Bicz aktorów” głównie wpłynął na purytanów, że teatr zamknięto. Wszyscy prawie aktorowie przyjąwszy służbę w wojsku królewskim, znaleźli śmierć na polu bitwy. Lubo po upływie lat trzydziestu aktorowie otrzymali pozwolenie do grania i książka Prynne'go przez kata spalona została, przecież to nie polepszyło publicznego zdania o aktorach. Według świadectwa Pope'go stan aktorów tak był poniżającym, że kazano im dawać jeść „w kuchni” i żaden z nich nie siedział przy stole magnatów.

Garriek sam często opowiadał następujące zdarzenie. Pewnego dnia będąc na przechadzce z Westonem, spotkałem dwóch kominiarzy. Jeden z nich poznawszy mnie, z szyderczym uśmiechem rzekł do kolegi: „Patrzaj, tam idzie aktor!” na co drugi seryo, i jakby karcąc go odpowiedział: „Nie żartuj, nie wiesz sam jeszcze czym będziesz.” Garriek w r. 1799 pochowany został z wielką okazałością w opactwie Westminster'skim. Szaleństwa Keana głośne były w swoim czasie, a zamiłowanie jego w szynkowniach marynarzy wywołało znów przekonanie, że życie hulaszce nierozłączne z aktorstwem. Awantury jego, o których często nikt nie wie w prywatnym życiu ludzi, w aktorze mającym zawsze charakter człowieka publicznego były tak rażące, że w końcu musiał opuścić Londyn.

W ogóle zawód artysty dotąd nie lepiej jest uważany w Anglii, i lubo Macready, Fanny Kemble talentem i życiem swoim zjednali szacunek powszechny, przecież był to tylko szacunek osobisty. Wprawdzie znakomitości artystyczne stały się na *rantach high-life'u*, koniecznością wysoko opłacaną, ale towarzyskie ich znaczenie podobne jest do kosztownych serwisów srebrnych. Przed kilku laty czytaliśmy w gazetach, że mający się popisować artyści oddzieleni byli od *honorable society* nieprzebytą przestrzenią czyli raczej co za bajkę uważać chcemy—liną!

(d. c. n.)

BIBLIOGRAFIA.

Fizyka w streszczeniu opowiedziana, według J. Müllera, profesora fizyki w uniwersytecie Freiburgim. Spolszczona przez Stanisława Kramsztyka, z atlasem. Warszawa, nakład Maurycego Orgelbranda.

Prawie wszystkie piśmiennictwa naukowe zagraniczne posiadają w każdym przedmiocie oprócz dzieł kilkotomowych, ogarniających całość przedmiotu lub niezmiernie szczegółowych monografij jeszcze tak zwane *compendya* albo skróty. Naturalnie że skróty owe nie mogą się zjawić wcześniej niż obszernie dzieła.

W języku Polskim, o ile wiemy, tego rodzaju dzieł traktujących naukę w nadzwyczajnym streszczeniu dotąd nie mieliśmy jeszcze. I nie dziwnego, piśmiennictwo bowiem naukowe zostawało u nas do niedawnego jeszcze czasu w zupełnym uśpieniu. Nie było pisać komu i dla kogo.

W ostatnich czasach nastąpiła jednak w tym względzie pewna korzystna zmiana, której objawami są coraz częściej zdarzające się wydawnictwa naukowe przedsiębrane nie w widokach zysku lub rozgłosu, ale w celach przyczynienia się do rzetelnego i poważnego podniesienia u nas poziomu umysłowego.

Mamy właśnie przed sobą jedno z takich wydawnictw: *Fizykę* opowiedzianą w streszczeniu podług J. Müllera, w Polskim przekładzie przez St. Kramsztyka. Jest to cała rzeczywiście *Fizyka* zamknięta w 40-tu stronach formatu wielkiej ósemki. Dla objaśnienia dodanym jest na końcu atlas litografowany, złożony z 10-ciu tablic, obejmujący aż 455 rysunków przedstawiających przyrządy fizyczne lub figury geometryczne. Do skończonego zatem tekstu dołączono atlas pełny i to właśnie sprawia, że czytelnik oswojony zresztą już z fizyką, może z „*Fizyki w streszczeniu*” tyle niemal się dowiedzieć co i z kilkotomowych dzieł.

Praca p. Kramsztyka znajdzie przedewszystkiem zastosowanie przy nauczaniu fizyki, jako podręcznik dla nauczycieli wykładających ten przedmiot ustnie, a nie ze spleśniałego rękopismu. Obfitość też rysunków pozwoli objaśnić wiele rzeczy niepomieszczonych w tekście.

Dla tych, którzy przeszli cały kurs fizyki odczytanie takiego streszczenia przyniesie także wielką korzyść. Słuchając pełnego wykładu, a bardziej jeszcze czytając obszernie dzieła, umysł mimo woli gubi się w szczegółach i traci pogląd na całość. Pilne przejrzanie *Fizyki* w streszczeniu pogląd ów przywróci i rozjaśni.

Szkoda że tłumacz w niektórych przynajmniej ważniejszych miejscach nie objaśnił, gdzie można znaleźć szczegóły odpowiednie najlepiej opracowane. Dziełko zyskałoby wtedy na wartości, urosłszy do znaczenia wyborowego podręcznika, chociaż objętość jego musiałaby w takim razie nieco się powiększyć.

Dodać winniśmy że zewnętrzne warunki „*Fizyki w streszczeniu*” stoją na wysokości najlepszych w tym rodzaju wydawnictw zagranicznych.

Treść: O proszonym Chlebie, powieść Waleryi Marrené (Morzkowskiej) (c. d.) — Claude Bernard i nowożytny materjalizm (dokończenie). — Korrespondencya z Berlina.—List do Redakcyi „Wieńca” T. Korzona.—Madonna Kucharzewskiego. — Czwartek na Grzybowie. — Ze świata naukowego i społecznego. Stanowisko aktora w społeczeństwie (c. d.) — Bibliografia. — Ryciny: Madonna Kucharzewskiego. — Czwartek na Grzybowie. —